Chróścielewski, Tadeusz

O dawnych lekarzach w moim rodzinnym mieście

Rocznik Mińsko Mazowiecki 2, 28-38

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

Tadeusz Chróścielewski

O dawnych lekarzach w moim rodzinnym mieście

O seniorze mińskich lekarzy, nadzwycaj ofiarnym i bezinteresownym zwłaszcza wobec chorych mało zamożnych, doktorze Janie Hubercie pisałem już dość dawno temu w tomie opowiadań i wspomnień "Rodzina Jednorożców". Wspomnienie to nosi tytuł "Rok". "Rok" - bo rok męczeńskiej śmierci doktora. Rok 1944 był dla Mińska rokiem strasznym, a i "rok" w rosyjskim znaczeniu tego słowa: przeznaczenie, fatum. Mój ojciec podczas rozmów z doktorem (przyjaźnili się więcej niż bardzo) często powtarzali zapamiętane z rosyjskich czasów sentencjalne zdania A.S. Puszkina: "Roka swojego nie izbieżit ni człowiek, ni zwier, ni ptica". Wspomnienie powtórzyłem w zbiorze wydanym w kilka lat później "Laska Matuzalema", ale pod zmienionym tytułem (tamten wydał mi się zbyt pretensjonalny i niejasny, i nie oddawał hołdu ofiarności doktora) "O Judymie bez rozdartej sosny". Doktor uważany był, również przez poważnych polonistów, za jednego z kilku lekarzy w Polsce, co do których panowało przypuszczenie, że mogli być, i zapewne byli, pierwowzorami postaci doktora Judyma z "Ludzi bezdomnych", zwłaszcza, że Żeromski znał dobrze doktora i był z nim przez pierwszą żonę spowinowacony. Nie będę już tych wspomnień powtarzał po raz trzeci. Odsyłam czytelnika do którejś z dwóch wspomnianych książek, które miały nakłady spore i niewątpliwie znajdują się w bibilotekach publicznych Wschodniego Mazowsza. Może tylko przypomnę, że doktor jako lekarz dość już leciwy zaraził się tyfusem chorego, powrócił wprawdzie do zdrowia, ale choroba sprawiła, że doktor Hubert w sposób ostrzejszy niż jego równolatkowie uległ przywarom starczego wieku. Począł już na krótko przed wojną tracić kontakt z rzeczywistością, co m.in. zaczęło się niebawem przejawiać w częstym zapomnieniu, że toczy się straszna wojna i na ziemiach polskich szaleje nieludzki terror okupanta, którego nb. przed wojną, kiedy okupant nie był okupantem, kulturę i osiągnięcia medyczne zawsze w rozmowach z nimi podziwiał. W pierwszym okresie 1944 r., jako mińszczanie nawet nowi, przybyli do miasta dawno po wojnie, niewątpliwie muszą wiedzieć, nastąpiła na niespotykaną skalę wsypa "londyńskiego podziemia" w Mińsku. Aresztowano około 70 osób, których przytłaczająca większość nie wróciła już z Pawiaka i Oświęcimia do grona żywych. Wśród tych osób znalazł się, ku naszej tym większej zgrozie, a i zdumieniu, doktor Hubert. Miejscowi żandarmi, zbyt tępi, by odkryć, że człowiek tak stary i słabo kontaktujący z rzeczywistością, nie może być "straszliwym partyzantem", po brutalnej rewizji, podczas której zrzucili ze ściany i potłuki dziewiętnastowieczną litografię Goethego z jego własnoręcznym podpisem (nie wiedząc z pewnością, kto to taki) doktora ciężko pobili i aresztowali. Niebawem na Pawiaku zawodowi oprawcy - jak należałoby przypuszczać, przy całym swym okrucieństwie, o znacznej inteligencji, też nie domyślili się, względnie jako nie tylko etatowi, lecz i z usposobienia sadyści, nie chcieli się domyśleć, że przesłuchiwany z powodu wieku i jego przywar, nie może być "niebezpiecznym wrogiem", zakatowali go na śmierć. Na tę tak straszliwą i niepojętą śmierć położyłem w zakończeniu wspomnienia nacisk, by uwypuklić przekraczające wszelkie miary ludzkie okrucieństwo okupanta. Więcej bym już, zgodnie ze wstępnym tu oświadczeniem o tym anielskim dobrym człowieku, czułym na nieszczęście ludzkie i biedę lekarzu nie pisał, gdyby w kilka lat po wydaniu "Laski Matuzalema" niespodziany telefon. Mój rozmówca, jak oświadczył, bliski krewny doktora (nie widziałem go jakoś nigdy na spotkaniach przyjacielsko-rodzinnych u doktorostwa w ich domu przed wojną) zarzucił mi dość ostro braki w mojej "rozprawie" o doktorze Hubercie.

Kiedy wyjaśniłem, że nie jest to "rozprawa", tym bardziej "monografia" wymagająca omówienia całościowego, tylko urywane wspomnienia chłopca, potem młodego człowieka, wsparte wspomnieniami mojej matki, mój krytyk nie uznał wyjaśnienia za dostateczne i dalej był pełen pretensji.Nie od razu domyśliłem się, o co interlokutorowi w rzeczy samej chodziło: popsułem mu legendę o seniorze rodziny, który, mimo sędziwego wieku, miałby być, według jego przekonań z odległości (podczas okupacji przyjazdy rodzinne z innej miejscowości były rzadkie ze zrozumiałych względów praktykowane) w Mińsku wodzem, a w każdym razie przewódczą postacią i zginął świadomie, jako mężny, choć sędziwy żołnierz, co to torturowany, do końca nie zdradził znanych sobie doskonale tajemnic sztabu AK. Mój rozmówca nie tak sobie widać cenił przechowanie pamięci o pierwowzorze czy sobowtórze doktora Judyma z "Ludzi bezdomnych", jak założoną przez siebie czy też może w samej rzeczy przez jakichś niezbyt liczących się z realiami propagandystów podziemia o starcu żołnierzu - wypisz wymaluj odpowiedniku sędziwego Żółkiewskiego pod Cecorą na kartonach Juliusza Kossaka. Mój rozmówca zganił mnie ponadto za poświęcenie nieproporcjonalne do zasług zbyt dużo miejsca osobie sędziwej pani Hannie, żonie doktora, niezwykle troskliwej i kochanej, jak gdyby nie wiedząc albo nie chcąc wiedzieć, że była to ponadto działaczka Polskiej Macierzy Szkolnej na skalę ogólnopolską, której działalność na polu upowszechniania wartościowych książek polskich wśród młodzieży szkolnej, rzemieślniczej, robotniczej była m.in. wysoko oceniana w wydanym przez PWN "Słowniku pracowników książki polskiej". Z pewnym niesmakiem też, jak wyczułem, przyjął wiadomość o udziale tego, co mu popsuł legendę żołnierską, w uwieńczonych pomyślnym skutkiem staraniach o ulicę doktora Jana Huberta w Mińsku i o tablicę epitafijną w miejscowej historycznej farze. Wspominam o tym telefonie, gdyż przykrość, jakiej wtedy doznałem do tych, o których się nie zapomina i po wielu latach.

Ale już teraz, zgodnie z tytułem, powspominam innych lekarzy, którzy w dawnym Mińsku byli czynni, jakkolwiek będą to z natury rzeczy strzępki wiadomości, jako że opieram się tylko na wspomnieniach własnych, człowieka bardzo kiedyś młodego - wspomnieniach, podległych, jak u wszystkich śmiertelników jakże gorzkiemu prawu zapomnienia.

A więc doktor Stanisław Kasperski - dusza człowiek i też znakomity lekarz. Przez jakiś czas uczył w naszej szkole higieny - bo był taki przedmiot przed laty o szerokim programie, obejmującym także i "te rzeczy", o czym zapominają zapaleni dzisiejsi dyskutanci o to, czy ma mówić o nich szkoła czy też winni być poddane niemrawości domu w tym względzie czy ... kompetencjom ulicy. Doktor uczył o wszystkich rzeczach związanych z higieną ściśla, nie pomijał również z wielkim taktem i "tych". Uczył niedługo, a w jakiś czas potem przyszedł dzień 17 września 1939 r., po czym doktor, jako oficer rezerwy, wraz z oficerem rezerwy architektem miejskim i kapitanem - szefem RKU Paszkowskim znaleźli miejsce wiecznego spoczynku w dalekim lesie Katyńskim.

A więc doktor Henryk Rutkowski - etatowy lekarz kolejowy, czynny w Mińsku co najmniej od 1921 r., jako że wybitny lekarz Karol Mitkiewicz - b. wizytator higieny w szkołach w całej Polsce i autor interesującego pamiętnika z entuzjazmem o nim (podobnie jak na innych stronach o doktorze Gucewiczu) pisze w swym interesującym pamiętniku "Spojrzenie wstecz", Czytelnik 1970. Wspomina w nim jak to razem z doktorem Rutkowskim (autor pacował wtedy w Siennicy) pośpieszyli na dramatyczne wezwanie dyrektora i ordynatora szpitala w Mińsku, który, choć chirurg, nie dawał sobie rady z pogodzeniem zadań administracyjnych z intensywnym pełnieniem obowiązków ściśle lekarskich (a zrozumiale wielkie było zapotrzebowanie dla chirurgii szpitalnej po wojnie). Pospieszyli wtedy właśnie obaj z bezinteresowną pomocą. W czasach ostatniej okupacji dr Rutkowski pełnił też bezpłatny dodatkowy "etat" lekarza AK, Szarych Szeregów. Pewnie i innych organizacji bojowych. Nie wiem.

I tak, jak na wymogi konspiracji, za dużo wiedziałem, ale "pięćdziesiąt lat minęło jak z bicza trzasł", a czas sieje spustoszenia nawet i w najbardziej zapatrzonej daleko w tył pamięci. Wiem, że dr Rutkowski leczył wszystkich bez różnicy, ktokolwiek oczekiwał pomocy i że, jak dr Hubert od tych, którzy nie handlowali i nie pracowali w administracji niemieckiej, bo i tacy byli (i rzecz jasna, i ci, i tamci nie należeli do klasy"bieda z nędzą") nie brał pieniędzy. Był do końca swych dni przez okupację naszym lekarzem domowym i przynajmniej raz w tygodniu miłym gościem - nielekarzem. Przynosił zawsze w kieszeni arcycenny prezencik dla mego malutkiego wtedy siostrzeńca - synka Hali, starszej siostry, która u nas oczekiwała na koniec wojny i powrót męża z łagru w ZSRR... i, dzięki Bogu, doczekała się. Mały Andrzejek w rewanżu pokazywał doktorowi swoje zabawki - jakieś sklejanki i małpoludki "babci" i mojej roboty. Pokazując wyjaśniał ich nie najwyższą jakość: "To są, panie doktorze, takie wojenne zabawki". Doktor najbardziej lubił drugą siostrę, którą dalsi znajomi nazywali Stanisławą, a rodzina i najbliżsi "Tatanią". Doktor wyleczył "Tatanię" z choroby płucnej. Siebie jednak wyleczyć nie mógł. Być może, lekarze już wtedy wiedzieli, że na zachodzie powstał, lub był w okresie ostatnich prób jakiś rewelacyjny środek przeciwgruźliczy - mam na myśli penicylinę i streptomycynę. Ale nawet jeśli już był stosowany, to do Generalnej Guberni z wiadomych względów nie dotarł. Na uroczystości pogrzebowe doktora Rutkowskiego poszliśmy wszyscy. (Został pochowany poza Mińskiem). Było dużo ludzi, jak na okupację. Pamiętam przez tak silną mgłę, że może się mylę, iż profesor Tadeusz Smoleński (również porucznik AK), choć na ogół nie przemawiało się wtedy w gronie ludzi nie dość znanych, wygłosił przemówienie (w ogrodzie willowej jego posesji). Śmierć miała miejsce jeśli się nie mylę, w 42 roku. Profesor Smoleński, wraz z doktorem Hubertem, rodzinami Sażyńskich i Popielów oraz tyloma innymi aresztowanymi podczas "wielkiej wsypy" pozostał w jakimś nie rozpoznanym bodaj jeszcze wspólnym grobie męczenników Pawiaka. Po doktorze Rutkowskim pozostała przy ulicy Kościuszki (nieco za Piękną, jak się idzie do dworca, willa w głębi ogrodu, w której podczas "trzech dni wolności" - po zajęciu miasta przez AK - mieściła się komenda Armii Krajowej. Potem urządzono tam przedszkole. Czy jest jeszcze, nie wiem: od dawna podczas jednodniowych wpadań do Mińska tamtędy nie chodziłem. Pozostała też po doktorze (kiedy żona zmarła, nie pamiętam) bardzo udana córka - niebawem dzielna lekarka, tylko że pracuje w innym mieście. Czasem w jakimś pamiętniku padnie przelotnie nazwisko doktora Rutkowskiego. Jeden wspomni, inny zapomni... i to wszystko.

Za moich lat lekarzem powiatowym był doktor Władysław Gucewicz. Dobry człowiek, świetny lekarz i organizator służby medycznej w terenie. Przez krótki czas ojciec mojej uczennicy na tajnych kompletach, Krystyny Gucewiczówny, wieloletniej publicystki działu kulturalnego jednego z poczytnych pism centralnych. Nie mogę odmówić sobie przyjemności przypomnienia, że wpierw doktorostwo Gucewiczowie, teraz ich córka z mężem, zajmowali dworek miejski, który kiedyś, dawno temu, należał do naszych kuzynów Hirszenfeldów - kuzynów, bo jedna z Hirszenfeldówien - już wtedy moja ciotka (tyle, że mnie jeszcze nie było na świecie) pozowała malarzowi Ignacemu Stelmańskiemu do obrazu Matki Boskiej Anielskiej według Bartolomea Estabana Murilla, słynnego przedstawiciela hiszpańskiego baroku. Piszę według, gdyż ten w mińskiej farze nie jest żadną kopią konkretnego płótna Murilla, lecz parafrazą jego twórczości maryjnej. Pamiątką po Hirszenfeldach jest zachowany ich monogram na naczółku ganku dworku będącego dziś własnością Gucewiczów przy ulicy Warszawskiej.

Lekarzem, który po wycofaniu się z orszaku kapłanów boga Asklepiosa doktora Huberta w mroki starości cieszył się sławą najznakomitszego w mieście, był doktor Aleksander Rogalski. Mieszkał też w pięknym dworku miejskim na Warszawskiej, niedaleko dworku doktora Gucewicza. Nie pamiętam, czy zajmował jakiś etat, czy poprzestał na praktyce. Z nim nasza rodzina jakoś nie przyjaźniła się. Ja pamiętam tylko jeden wypadek zetknięcia się z nim osobistego. Przyjechałem do matki z Łodzi jako asystent Uniwesytetu, nauczyciel licealny na Bałutach cieszący się niejakim uznaniem w środowisku i kuratorium oraz publicysta, członek redakcji tygodnika literackiego "Wieś". Masz ci bal! - jak mówiono dawniej w Siedlcach! Zastałem matkę chorą. Tym razem jednak poważnie (nie dla powiększenia kolekcji nie używanych lekarstw, które jej pomagały przez samo patrzenie na stolik z aptecznymi zbiorami). Dowodem też, że było to coś chyba poważnego był właśnie fakt, że kazała mi jechać po lekarza nie lubianego i kosztownego. W tamtych czasach sławniejsi lekarze nie przyjeżdżali do chorego własnym przemysłem. Aut też jeszcze nie posiadali i nie było w zwyczaju ich posiadać. Pędziło się dorożką. Potem drynda cierpliwie czekała, aż mi się uda lekarza wyprowadzić z domu z walizeczką. Wydawało mi się, że nie będę musiał długo prosić. Chociaż ojciec już zmarł i byliśmy pogorzelcami wojennymi, mało zamożnymi jako rodzina, "pani inżynierowa" cieszyła się w "sferach" dostatecznym jeszcze, choć nie takim jak ongiś, poważaniem, żeby poproszenie wybitnego lekarza o wizytę było sprawą wymagającą rzeczywiście próśb, i to długich próśb. Okazało się jednak, że było i że moja próżność - osobista i, że tak powiem, rodzinna - wystawiona została na ciężką próbę. Doktor zbyt siebie cenił, by dać do zrozumienia, że mu nasze nazwisko coś mówi i bodaj kazał, żeby "chora sama zgłosiła się do jego gabinetu". Wreszcie się zgodził. Gdy jechaliśmy do matki dorożką, chciałem jakoś nawiązać z nim kontakt - jak młodsza ze starszą "osobą ze sfery". Przypomniałem doktorowi, że podczas okupacji uczyłem jego syna Jasia, dziś niewątpliwie już pana Jana, który to fakt nie zrobił na lekarzu żadnego wrażenia. Mówiłem o swych sukcesach w "polskim Manchesterze", o tym, że mi sam Jastrun mówił "panie kolego". Doktor jednak nawet nie mrugnął okiem: reprezentował powagę profesji, a poza tym najpewniej... nie znał "tego lekarza" (!). Opukał matkę, zapisał słuszne lekarstwa, zainkasował honorarium i kazał mi się prowadzić do czekającej potulnie już przed domem tamtej dorożki. Myślałem, że mi chce powiedzieć o stanie matki coś konkretnego, ale milczał. Kiedy sam zapytałem, bąknął tylko: "Nikt nie jest wieczny", co mnie ani oświeciło, ani - co gorsze - pocieszyło. Inne zupełnie wspomnienia miała matka ze swych ongiś kontaktów z doktorową Rogalską i ich synkiem, i ja z ich synem, na początku mojej kariery belferskiej.

Najpierw o doktorowej Annie Rogalskiej i matce - dawnymi czasy pełnej energii organizatorce przedstawień teatrów amatorskich i deklamatorce na patriotycznych akademiach - matce podobno jeszcze piękniejszej niż "ciocia Janka" z domu Hirszenfeld, co zważywszy na to, o czym była mowa wcześniej, zakrawa, gdy to piszę... "na bluźnierstwo"; o matce nie wiedzącej, co to choroba i nie odrabiającej się kolekcjonowaniu lekarstw. Może tylko nie tak bystro widzącej, chociaż do końca życia nie założyłaby przy nikim obcym okularów... Był dziecięcy balik kostiumowy na cel. W gremium organizatorek, jak zawsze, zasiadała moja matka i chyba homo novus w aeropagu mińskim "dam z towarzystwa" - doktorowa Rogalska... dzieci były poprzebierane we wróżki, kwiecia stokroci, pajacyki, ułanów Księcia Józefa. Przygrywała jakaś orkiestra. Dzieci kręciły się w kółko ("graniaste", którego finale "wszyscy bęc!"), w horror zaczynający się od słów "chodzi lisek koło drogi". Lis chodził rzeczywiście i skutecznie szukał odpowiedniej ofiary. Pewnie były jakieś prezenciki dla milusińskich, ciasteczka. I wszystko byłoby jak być powinno, gdyby nie... małpka(!), dla śmiechu widać przebrana w kusy fraczek jak francuski markiz. Małpka, jak to małpy - skakała bez sensu i wydobywała z małpiego gardziołka dziwaczne popiskiwania.

Obie panie akurat stały obok siebie i moja matka wzburzona, a głównie przerażona, czyimś głupim dowcipem (nie tylko uwłaszczającym powadze zabawy, lecz i nad wyraz niebezpiecznym: wiadomo co małpa może zrobić - odgryźć jakiemuś dziecku paluszek, wskoczyć na żyrandol i spowodować, że spadnie na główki dzieciom!) zwierzyła się ze swego przerażenia doktorowej Rogalskiej: "Proszę pani, co począć? Ktoś przebrał w kostium małpkę i wpuścił do sali! Trzeba łapać, zamknąć gdzieś!" "Gdzie małpa, gdzie?" "A o tam! Widzi pani doktorowa?" "Ależ to nie małpka, tylko mój mały syneczek Jasiu" - uświadomiła doktorowa moją matkę i wielka między tymi paniami zapanowała nieprzyjaźń - zmieniona zresztą z czasem może i w przyjaźń - jednak powściągliwą. Minęły lata. W roku szkolnym i akademickim 1943/44 byłem już na tajnym uniwersytecie blisko zdobycia absolutorium z polonistyki i rusycystyki i ucząca na kompletach od początku okupacji moja siostra Stanisława - Tatania wprowadziła mnie, najpierw na zastępstwo do grona tajnych belfrów (na czas jej choroby), potem otrzymałem od mojego dawnego dyrektora, teraz szefa, ustną nominację na nauczyciela samodzielnego na kilka kompletów, w tym i na stanowiące klasę najwyższą gimnazjalną i nawet pierwszą licealną. W tej najwyższej gimnazjalnej (podobnie jak w liceum) chłopcy, a w liceum chłopcy i dziewczęta, byli żołnierzami AK, mieli na swym koncie udane i nieudane akty dywersji. Dziewczęta nie, ale chłopcy często przychodzili na lekcje z rewolwerem, bo mogło się zdarzyć, jak wtedy na komplecie braci Dąbrowskich, że ktoś wpadł na moją lekcję o "Wyzwoleniu" Wyspiańskiego i z pośpiechu nawet mnie nie przeprosiwszy, zawołał: "Chłopaki! Walimy obalić ten mostek pod Micnią!" Jeden komplet (to był właśnie ten ostatni gimnazjalny) składał się ze speców od przykładnego karania złych Polaków, a i złych Polek, co "kombinują" z "tymczasowymi" (Niemcami). Chłopaki barczyste, patrzące spode łba: już oczy ich rozświecała groza. I ten właśnie komplet (a prawda jego uczniem i bodaj dowódcą pozostałych, a może jednak tylko przykładnym żołnierzem szeregowym: tyle lat, więc pamięć jak zdarta płyta gramofonowa!) zaprasza mnie po lekcji na swoją stołówkę. A prawda Dyr czyli dyrektor Jan Łupiński, wyglądający niemajestatycznie, a organizator genialny, powierzył mi... wychowastwo tych młodych ludzi, którzy w swym pozalekcyjnym wcieleniu reprezentowali karzącą rękę podziemnego państwa znajdującego się "w stanie wojennym". Spytałem Dyra, co mam zrobić z tym zaproszeniem. Trochę się tych chłopców mimo woli, naturalnie i skrycie bałem, zwłaszcza, że niektórzy oberwali u mnie dwóje, a poza tym będzie na pewno morze wódki. "Niech pan koniecznie idzie! - rozkazał mi dyrektor, w którym obudził się przedwojenny dyrektor normalnej, przedwojennej, infantylnej szkoły: - Mogą się jeszcze upić, więc pozwoli im pan najwyżej na jeden kieliszek!" Zadanie niewykonalne, ale posłusznie idę. Młodzieńcy są zaskoczeni moją obecnością, bo wprawdzie mnie z grzeczności zaprosili, lecz byli przekonani, że uprzejmość mi nakaże nie skorzystać. Moje przyjście do tych zabijaków (chłostaczy - i gorzej - donosicieli, chłopów, co zbyt posłusznie odstawiali kontyngent, sołtysów, zbyt gorliwych panien - jak wyżej) wywołało wśród nich panikę. Na stole stał zaczątek "morza wódki" - dwie półlitrówki, które zaraz... gdzieś się zapodziały. Siadają, nie siadają, naradzają się w kącie. Chodziło o to, kto odważnie usiądzie obok... "profesora". Wybór padł właśnie na Janka Rogalskiego. Usiadł, wszyscy usiedli. Przez jakiś czas trwało grobowe milczenie - bo o czym tu konwersować z "groźnym profesorem" - jeszcze przed małą maturą? Wreszcie Janek zagaił rozmowę wykwintnym pytaniem na poziomie: "Przepraszam, że się ośmielam, ile to pan profesor liczy sobie wiosenek?" "Dwadzieścia cztery" - zaspokoiłem ich (jego) ciekawość. Znowu cisza i znowu Jasio (ta dawna małpka w stroiku Stanisława Augusta) popatrzywszy na mnie dość badawczo zawyrokował z podziwem: "To pan profesor jeszcze się bardzo dobrze trzyma".

Podczas okupacji mieszkał w Mińsku i praktykował doktor Jan Obremba - wysiedlony z rodziną z Katowickiego, przyłączonego do Reichu. W ich salonie odbywały się zajęcia kompletu licealnego, w którym uczyły się dwie córki doktora, wybitnie inteligentne, a także późniejsza żona popularnego satyryka i gawędziarza Horacego Safrina. Bardzo krótko na tym komplecie uczyłem, bo tylko na czas choroby siostry, toteż Bogda, wdowa po Serafinie, nie pamięta mnie. Ja ją jak przez grubą mgłę. Kiedyś, w okresie wczesnego Gomułki, widziałem w Zielonej Górze w galerii sztuki obrazy jednej z Obrembianek. Naprawdę świetne, a sama malarka bardzo podobno ceniona w środowisku. Później już nie widziałem ani obrazów, ani słyszałem o niej. Widocznie przeniosła się albo zmieniła nazwisko na mężowskie, choć artyści zazwyczaj tego nie robią... Ale miałem mówić o doktorze. Niedługo po okresie belferowania w tamtym domu poszedłem do doktora Obremby w jakiejś prywatnej sprawie. Może z prośbą, żeby przyszedł do matki, która, jak już powiedziałem, przepadała, począwszy od okupacji za chorowaniem i lubiła też zmieniać lekarzy. W progu zatrzymała mnie jednak dość stanowczo fertyczna pokojówka. Poinformowała mnie uprzejmnie, językiem dość wyszukanym: "Pan doktor nie może pana przyjąć, gdyż właśnie oddaje w łazience wikt". Żeby było trochę mniej śmiesznie, wyjaśnię, że idąc tam zapomniałem, że akurat na ten dzień przypadało święto patrona lekarza, który zdążył zdobyć sobie sporą praktykę i nieźle mu się powodziło...

I teraz o doktorze niezwykle pozytywnym, choć i niemało pocieszny m. O doktorze Janie Rozenie. Pocieszny był już jego wygląd. Był nie tylko bardzo niski, lecz i pękaty jak pączek. Jego mało bohaterski wzrost nie rzucałby się tak bardzo w oczy (ojciec i ja też byliśmy niewysocy), gdyby nie to, że nie rozstawał się z olbrzymim psem wilczurem. Tak olbrzymim, że wcale nie stając na łapach niewiele odbiegał wzrostem od swego pana. Doktor prowadzał tego psa na smyczy, zawsze odginając się w stronę przeciwną, jakkolwiek bestia była nadzwyczaj potulna i nigdy nie usiłowała ciągnąć swego opiekuna. Doktor nawet do chorego szedł zawsze z psem i z laską. Wychodząc wkładał zawsze na głowę ulubioną płaską czapkę typu (tak się w moich gimnazjalnych czasach je nazywało) bajadera. Czapka ta jeszcze bardziej zdawała się przypłaszczać jego sylwetkę. Doktor miał również trudności z wymawianiem wielu spółgłosek, a szczególnie "r". To "r" wyplątywało się z jego ust z najwyższym trudem, jakby hamował głoskę jakiś tampon, kokon... W odróżnieniu od doktora Huberta, który przy stykaniu się z chorym na niebezpieczne zaraźliwe choroby nie przejawiał, czy starał się nie przejawiać lęku, co sam przypacił omal nie nieszczęściem ostatecznym, doktor Rozen był niebywale ostrożny. Opowiadano nam, że wezwany do chorego, zajrzał tylko przez drzwi, wytknął laską w stronę łóżka i natychmiast bez badania rozpoznał: "tyffusz". po czym wycofał się do kuchni czy nawet do sionki i tam wypisał czy to stosowne lekarstwo, czy, co prawdopodobniejsze, skierowanie do szpitala. Nieurodziwość lekarza i wspomniane trudności wymowy wprawiały go w szereg kompleksów, między innymi, że uważają go za... Ale to trzeba na przykładzie pokazać: to lepsze niż kończenie zdania. Komisja poborowa miała któregoś roku problem, którego sama nie czuła się na siłach rozstrzygnąć, a mianowicie, czy poborowy z podmiejskiej wioski jest istotnie niedorozwinięty, czy też tylko takiego udaje, żeby "do woja nie iść". Zaprosiła zatem do rozstrzygnięcia tej kwestii doktora Rozena. Przyszedł z wilczurem, zasiadł wygodnie na wyścielanym krześle, Reks też wygodnie na chodniku przy krześle. Wprowadzono poborowego. Lekarz zastosował jedynie chyba możliwą w tej sytuacji metodę sprawdzania inteligencji i jej ewentualnych odchyleń od normy poprzez pytania. Zaczął od pokazania na siebie palcem i zapytania" "Kto ja jesztem?" Na twarzy kandydata do obrony ojczyzny odbił się potężny wysiłek myślowy... wreszcie oznajmił: "Musi zydek?" "Wahjat, wahjat! - wpadł w srogą irytację doktor, którym to werdyktem zwolnił chłopaka od zaszczytu służby ku chwale ojczyzny. I miał rację, natomiast chłopak racji nie miał: doktor miał tylko nazwisko niemieckie, śmieszny wygląd i wady dykcji.

A poza tym pochodzenie narodowościowe w ocenianiu człowieka nie ma, jak wiadomo, absolutnie żadnego znaczenia.

Inna przygoda, jaka mu się trafiła, nie zirytowała go, tylko rozbawiła, bo, mimo kompleksów, pocieszny lekarz miał poczucie humoru. Była w naszym domu jakaś impreza rodzinna. Pewnie imieniny ojca. Wśród nie zaproszonych, lecz przybywających z własnej inicjatywy gości (przed wojną na ogół nie zapraszało się gości: przychodzili z potrzeby serca) zjawił się między innymi doktor Rozen. Po kolacji, do której się imprezy imieninowe nie sprowadzały jak dziś, w standartowych "M", w których, choćby nawet ze względu na "przestrzeń życiową", nie ma możliwości na inną formę uczczenia solenizanta niż karne siedzenie przy stole na wskazanym miejscu i pochlebne wyrażanie się o smacznych rzeczach, które nie bywają już domowej roboty, gdyż solenizantka czy solenizantowa kupuje je w magazynie spożywczym o zagranicznej nazwie, tak nam pomocnej do znalezienia się w Europie. Kolacje zaczynały się i kończyły w porze umożliwiającej główną bodaj część obchodu: tańce przy trąbie gramofonowej czy, ostatni krzyk mody, patefonie albo gry towarzyskie. Najważniejszą w hierarchii gier były "żywe obrazy". Widzowie siedzieli w jednym pokoju nawprost szeroko otwartych drzwi. Druga część gości i domowników zamieniała się w pomysłowców - aktorów. Z wymyślonych przez nich i zaprezentowanych scenek ("żywych obrazów") trzeba się było domyśleć, z pierwszych liter odgadniętych tytułów kolejnych żywych obrazów wyrazu, na które się one w sumie składają. Widzowie odgadują zatem nazwy kolejnych żywych obrazów - jedne natychmiast, przy innych łamią sobie długo głowę. Przychodzi kolej na literę "r". Adorator mojej siostry, poczciwy student Bohdan Komar-Gacki (biedny, ale ambitnie nie chcący korzystać z pomocy dalszej rodziny - był sierotą - kiedy już skończył studia politechniczne, przyszła wojna, Bodzio - tak go nazywaliśmy wszyscy - wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, co szybko przypłacił Pawiakiem i dotąd jeszcze nie znaną zbiorową mogiłą) który oddelegowany został wraz ze swą sympatią do "aktorów", włożył palto doktora Rozena wiszące w przedpokoju, wpakował sobie pod palto poduszkę, znakomicie imitując odstający brzuch i wziął na smycz ze sznura od bielizny moją siostrę. Ta przedtem opięła się czyimś kożuchem, przekręconym wełną na wierzch i poczęła stąpać przed Bodziem (też niskiego wzrostu, kawalerem) na czterech łapach, po mistrzowsku szczekając, po czym z warczeniem ugryzła kolejno w łydki posła Ignacego Rowickiego i doktora. "Rozen! Rozen!" "Nasz dostojny gość pan doktor Rozen!" - śmieli się wszyscy, a najbardziej osoba, którą świetnie Bodzio naśladował, odgięty do tyłu i wołający "Łrłeksz do nogi!"... Nie pamiętam, czy przed doktorem Kasperskim, czy po, doktor też wykładał w naszej "budzie" higienę. Za jego nauczania otrzymywanie piątek z tego zawiłego przedmiotu było równie łatwe, jak z religii u księdza Dziąga. Może jeszcze łatwiejsze, bo tam trzeba było np. umieć, na blachę, że np. "obżarstwo" jest grzechem śmiertelnym, nie zaś, jakby ktoś myślał, cnotą. Na higienie padało jedynie pytanie: "Czszo to jeszt? Wilk? - "profesor" zadając je, wskazywał laską na wizytującego lekcję nieodłącznego Reksia, który leżał spokojnie przy katedrze. Trzeba było na nie odpowiedzieć bez zająknienia: "Wbrew pozorom, nie jest to wilk, tylko wilczur, ukochany piesek pana doktora" i natychmiast po tym wyjaśnieniu do dziennika wkraczała piątka!

Tyle o doktorze na śmiesznie. Ale doktor przy wszystkich swych śmiesznościach był postacią wybitną, działaczem niezmiernie zasłużonym dla miasta i dla naszego pokolenia, które niebawem musiało zdawać straszliwy egzamin, a przecież ci, których tamten czas nie umieścił tak wcześnie pod ziemią, lecz chodzą po niej czy niedawno jeszcze chodzili, o ileż są (byli) zdrowsi od następnych pokoleń. Pasją doktora Rozena, której poświęcał każdą chwilę wolną od bezpośredniej praktyki lekarskiej, była działalność na polu usportowienia i kultury higienicznej młodzieży.

Miał przy tym nadzwyczajne zdolności organizacyjne i nieustający zapał. Dodajmy, że działalność ta była nie tylko całkowicie bezinteresowna, ale lekarz wspomagał swe inicjatywy zawartością własnej kabzy, mimo że miał i wydatki rodzinne (choćby jako bardzo troskliwy ojciec córki, po wojnie wybitnej działaczki społecznej). Główną jego pasją, którą przeprowadził w całości - od pomysłu do pełnej realizacji - było stworzenie boiska miejskiego, wyposażenie go we wszystko, co wielozadaniowemu boisku, zawodnikom i widzom, było potrzebne - zatem szatnia, trybuny dla dostojników czy płacących droższe (ale i tak tanie) bilety mińszczan, podmińszczan czy kibiców obcych drużyn. Walnie się też przyczynił do powstania klubu sportowego o nazwie "Masovia" - rekrutującego się z młodzieży rzemieślniczej i robotniczej, z fabryki Rudzkiego. Boisko o wymaganych rozmiarach wyposażone było we wszystko, co potrzebne do gry w piłkę nożną, koszykówkę - osobno korty tenisowe i boisko do siatki. Boisko do piłki nożnej otoczone było wyżużlowaną bieżnią do sprintu i biegów długodystansowych. Były i płotki, które można było w każdej chwili ustawić. Szeroka brama od Czarnej Drogi łatwa była do wyjazdu i wjazdu z powrotem do finiszu dla cyklistów. Tu dodam, że koło cyklistów powstało bodaj jeszcze przed pierwszą wojną i jednym z jego współzałożycieli, jeszcze w czasach, gdy parobczaki ze wsi, nie mogąc pojąć, jak można na czymś takim jeździć, i to tak szybko i nie przewrócić się, wołali za cyklistą: "e, pan! czy daleko do piekła?" był mój młody, pobożny ojciec. Z boiska korzystała nie tylko "Mazovia" i zrzeszeni cykliści, ale - i chyba przede wszystkim młodzież mińskich szkół. Dzięki powstaniu boiska Mińsk i nasza "buda" doczekała się, w czasach wielkich olimpiad i entuzjazmujących całą Polskę jak nigdy potem zwycięstw naszych barw: Kusocińskiego, Nojego, Wajssówny, Heliasza, Pławczyka - i swoich własnych sław: Janka Łopuszańskiego (przez jeden sezon rekordzistę Polski na sto metrów i kandydata na Olimpiadę w Berlinie, przy tym jednego z lepszych w Polsce skoczków o tyczce), niewiele tylko wolniejszego od niego sprintera (11,8 sto metrów) kolegi z mojej klasy, zarazem prymusa Mariana Wójcika, niewiele od tegoż wolniejszego, za to w miocie kulą ustępującego bodaj tylko Heliaszowi Tadka Ryniewicza (zabity na naszym dworcu w walce z chcącymi go aresztować żandarmami niemieckimi). Jeszcze Łopacińska - znakomita koszykarka, zaś w młodszych klasach najznakomitsza ulewaczka w gry "W dwa ognie"... Najbardziej lubił doktor Rozen organizować wyścigi rowerowe na trasie: Mińsk - Latowicz - Kołbiel - Mińsk, w którym obok naszych miejscowych czempionów, jak Śledziewski, "sokół", późniejszy mąż mojej serdecznej koleżanki Jadzi Karwowskiej (zmarła przy porodzie) brali udział czempioni ogólnopolscy, sprowadzani specjalnie przez doktora Rozena (nie wiem, czy wtedy jeszcze sprowadzało się mistrzów metodą zwykłej namowy i wabienia perspektywą otrzymania pucharu, czy, tak jak teraz, za grubszą mamonę). Ci mińscy - dodam - nie zdający sobie sprawy, że są przez "doświadczonych lisów" od takich wyścigów, dwukółkowych mistrzów Polski czy wiecie, umyślnie kiwani, przez cały czas prowadzili, aż tu prawie przed Kędzierakiem, gdy zwycięstwo zdawało się tuż, tuż, owe stare wygi z równie dziecinną łatwością, z jaką Pan Tadeusz Soplica pociągał za sznurek, wymijali ich i odsadzali daleko w tyle... Druga dyscyplina, którą doktor, tak samo jak my, uwielbiał, były zapasy: walki szwajcarskie, francuskie, wolna amerykanka. Były to jeszcze czasy, kiedy wiadomości z walk zapaśniczych w Cyrku Staniewskich, dawano na pierwszych stronach gazet i kiedy najpierw mistrz swiata Zbyszko Cyganiewicz był w oczach młodzieży bohaterem równym Kościuszce, a potem - za moich lat - Sztekker, też mistrz świata i mąż świetnej poetki, raz tylko przegrał i najprawdopodobniej to na lipę, (żeby na następny turniej ściągnąć więcej widzów), z niejakim Garkowienką (wtedy zapanowała w naszej "budzie" żałoba narodowa) też wydawał się nam nie mniejszym bohaterem niż Książę Józef!

Doktor Rozen był nie tylko admiratorem i organizatorem, lecz i znawcą, ba, nawet sędzią w zapasach pokazywanych na naszym boisku. Czy był sędzią kwalifikowanym, to jest upapierkowionym przez jakieś warszawskie prezesury - tego nie wiem, ale sędziował świetnie. Pamiętam taki mecz: grubas, jak orangutan i wieprz w jednej osobie, oraz zawodnik wysoki i barczysty, ale zgrabny jak amant filmowy - gnietli się, przewracali. To jeden na górze, to drugi, a doktor Rozen niestrudzenie i boleśnie sędziował. Właśnie niestrudzenie i właśnie boleśnie, gdy się zważy, że do obowiązków sędziego należało przewracać się na ziemię równo z tamtymi, a nawet jeszcze bardziej na płask niż tamci, by ich pozycje, co chwila zmieniające się, widzieć dokładnie, sprawdzać czy chwyt wykonany był prawidłowo, czy grubas został przez sekundę rzucony na dwie, czy tylko na jedną łopatkę. Przecież doktorowi boleśnie przy pełnieniu takich obowiązków przeszkadzał brzuszek. Niezależnie od budowy boiska i zarażenia nas (wraz z profesorem gimnastyki Witkowskim) pasją sportową, organizował doktor w sali resursy miejskiej odczyty na tematy higieniczno-sportowe i nawet koncerty o zgoła innym charakterze, bo muzyczne i deklamatorskie, z udziałem artystów scen warszawskich i filharmoników... Brałem udział w jednych z zawodów kolarskich: zająłem bohatersko dwudzieste ósme czy dziewiąte miejsce, z czego byłem bajecznie dumny, bo klaskali mi i klaskały: moi koledzy i koleżanki. Tuż przed maturą zdałem egzamin na Państwową Odznakę Sportową, nota bene, razem z ojcem, który (z wieku mu i z urzędu się należało) zdobył Złotą Odznakę, a ja Brązową. Dziwnym zrządzeniem losu moja POS ocalała z zawieruchy wojennej. Nieraz bierze mnie pokusa, czy nie postąpić pisząc ostatnią wolę jak Książę Józef w swym gorzkim liście do króla - stryja. Według Or-Ota (jeden z najlepszych jego wierszy "List Księcia Józefa") pisze on do króla, który przystąpił do Targowicy, "z listem ci swoje odsyłam ordery, te wszystkie które miałem z łaski Twej. Z jednym się tylko nie zostanę długo, z krzyżem Virtuti, zdobytym zasługą, Ten mi do trumny kiedyś włożyć chciej". Myślę o swym brązowym POS. Owo zdawanie na POS też było bodaj z inicjatywy dwóch propagatorów sportu - doktora i profesora Witkowskiego... Pamiętam jeszcze taką scenę z boiska - "rozenowskich" wspomnień: zawody lekkoatletyczne i rozmowę, którą naprawdę pamiętam. Na krytej galerii siedzą: Doktor, mój ojciec oraz pułkownik dyplomowany 7 pułku ułanów, Julian Filipowicz (za kilka lat będzie wrzesień, a wtedy pułkownik będzie dowódcą nie mniej walecznej niż nasz kochany pułk całej Wołyńskiej Brygady Kawalerii). Siedzę, jako syn zasłużonego ojca, bardzo blisko nich. Ojciec przedstawił mnie nawet pułkownikowi, który oznajmił, że ma dla mnie po podchorążówce upatrzone miejsce w 7 pułku, o czym natychmiast zresztą zapomniał, bo to była obiecanka z grzeczności, poza tym i moja służba wojskowa, o czym pisałem nie tak dawno w "Kresach Literackich", została pokiełbaszona przez drążące chyba nawet kamień czyste, rzęsiste łzy matczyne. Obaj panowie rozmawiają pogodnie o sprawach publicznych i bodaj tradycjach powstańczych. Doktor Rozen żali się, że "szmałrkatelrja", również i z gimnazjum szmieje się i gołrszy, że pani profesor Maria Szymkiewicz "u nas" na boisku gra w tenisa nieprzyzwoicie, bo w białych spodniach, jakby Pan Bóg - mówi owa smarkateria - nie stworzył ją kobietą, a więc osobą obowiązaną nie rozstawać się nigdy z sukienką. Oznajmia też doktor, że "u niego" nie ma miejsca na boks: tej dyscypliny nie znosi. Mój ojciec zgadza się z nim, pułkownik - nie: powiada, że i tę umiejętność przyszli żołnierze winni posiadać, "bo sytuacja"... Nie wiem, dlaczego doktor Rozen znikł z mojej pamięci jakoś na rok czy półtora przed wrześniem. Zapewne wyjechał. Pamiętam natomiast fragment wiersza o doktorze Rozenie pióra miejscowej poetki od rymów okolicznościowych - artystki - malarki, pani inżynierowej Zofii Jasińskiej, córki głośnego ongiś, dziś ze szczętem zapomnianego, poety Kazimierza Glińskiego. Była jakaś ogólnodziałacka uroczystość - przyjęcia urozmaicone grą na pianinie, fortrpianie profesor Haliny Wieczorkiewiczówny i wierszami pani Jasińskiej o osobistościach miasta.

Brzmi mi jeszcze w uszach zapamiętany fragmencik, który "stalowym głosem" deklamowała, patrząc na Rozena:

Stalowy krok,
Marsowy wzrok
Do głębi duszy sięga...
"Wrze w tobie duch,
Gdyś sportu druh...
A nie - to jesteś ciemięga!

Pewnie to parafraza jakiegoś przemówienia, a przede wszystkim filozofii życiowej nie tylko pociesznego doktora... Tyle pamiętam. Inni pamiętali wiersz cały, tyle, że poumierali. I to byłoby o doktorze Rozenie wszystko.

Na koniec doktor Grzeszak, dyrektor i ordynator szpitala w jego najtrudniejszym i chyba najbardziej heroicznym okresie. W szpitalu pod jego opieką leczyli się bądź ukrywali ranni żołnierze AK i innych sił podziemnych antyhitlerowskich. Był po śmierci doktora Rutkowskiego jednym z głównych lekarzy zbrojnego podziemia, był przy tym prezesem PSK i zarazem prezesem RGO - organizacji opiekującej się (w odróżnieniu od czerwonego Krzyża) wyłącznie potrzebami materialnymi ludzi w skrajnej biedzie. Mało się dziś o RGO mówi, ponieważ była organizacją legalną i uzyskała przyzwolenie władz niemieckich. Ale była to organizacja, którą błogosławiło, i miało za co, tysiące nieszczęśników. Doktor Grzeszak zorganizował raz dla powiększenia kasy RGO (był pewnie jakiś zator w napływie funduszów, które docierały z zagranicy i z ofiar ziemiaństwa - okupanci je tępili bardzo niekonsekwentnie) koncert w sali resury. Był to jedyny koncert jawny, zwolniony przez władze podziemne od zakazu bojkotowania (zakaz był, przypomnę, jeśli chodzi o najbardziej masową rozrywkę kulturalną - kino, szeroko upowszechniany zgrabnym dwuwierszem: "Tylko świnie siedzą w kinie"). Koncert poprzedził doktor Grzeszak przemówieniem, które, jak publicznie zapowiedział, ze względów ostrożnościowych, to jest, żeby nik nie mógł przeinaczywszy donieść tam, gdzie nie trzeba, że przemówienie ma wiadomy wydźwięk polityczny, odczytał z maszynopisu. Może gdzieś jest w aktach ten apel o składanie ofiar na pomoc biednym? Na koncercie wystąpili artyści warszawscy. Po raz ostatni słyszałem wtedy wzruszająco wykonaną "Baśń o Kasi i królewiczu" Lucjana Rydla - utwór kiedyś powszechnie znany i ceniony, dziś dla zoilów trąci "kompromitująco młodopolską myszką". Tak będzie z czasem i z wierszami, niestety, dzisiejszych rozchwalanych poetów, jako że wbrew horacjuszowemu zapewnieniu wypisywanemu dziś - taka moda, chociaż się nie zna łaciny - "omnis moriar". Tuż po ucieczce Niemców doktor Grzeszak rozszerzył działalność Polskiego Czerwonego Krzyża o filantropię, ponieważ RGO, przynajmniej w tej części Polski nie miało warunków działania (ziemiaństwo wypędzone ze zwych majątków i niemożność wpływania zagranicznych funduszy). Rozszerzony został skład zarządu PCK. Obok odwiecznie działającej w "Krzyżu" Lodzi Tomczakówny - mistrzyni w dobieraniu sobie arcynietwarzowych kapeluszy - znaleźli się w zarządzie: Bożena Głowacka, Jerzy Sylwestrowicz i ja. Pamiętam kilka zebrań prowadzonych przez doktora Grzeszaka w jego gabinecie szpitalnym. Na Jurka, na mnie i kogoś jeszcze spadł obowiązek nocnych dyżurów w założonej z inicjatywy doktora w dawnym budynku szkoły elementarnej jeszcze Komisji Edukacji Narodowej (dziś odrestaurowanego stylowo i przeznaczonego na Dom Kultury Nauczyciela - wtedy w opłakanym stanie i chyba niezamieszkały) noclegowni dla krążących już od Wschodu po Mińsk, (bo w Warszawie wybuchło powstanie) - ludzi szukających rodzin albo wyglądających czasu, kiedy będzie można udać się do stolicy, do "własnej chałupy" albo (ci ze Wschodu) poszukujących gdzieś nowego przytuliska na dłużej.

Czekały na nich łóżka, świeża pościel. Zapisywaliśmy z Jurkiem ich nazwiska, daty urodzenia, poprzednie miejsca zamieszkania do specjalnej księgi, która nie wiem, czy jest gdzieś jeszcze. Pewnej nocy - mówili nasi zmiennicy - przywlókł się Kornel Makuszyński z żoną. Pisarz robił podobno wrażenie człowieka w szoku czy po przebytym szoku. Zmiennicy, nie chcąc, żeby nocowali w tej "budzie" z nie zawsze pewnymi ludźmi, postanowili zawieźć ich na plebanię do księdza Osińskiego. Jeden zawiósł jakimś środkiem lokomocji, drugi dyżurował przez godzinę sam. Ksiądz prałat zaraz się nimi zajął, przygotował nocleg, starał się oboje rozruszać... Potem ja wyjechałem... Potem minęły lata. W danym przez fabrykę do dyspozycji mojej matki, siostry i jej męża pokoiku z kuchnią na rogu zabudowań fabrycznych i krańca Stankowizny bywałem dużo częściej, niż dziś bywam na starość u siostry. Mogłem już sobie na to po kilku latach pozwolić, gdyż władze miały inne ważniejsze dla nich zadania (na przykład kolektywizacja) niż pamiętać o mojej osobie, która z różnych względów wsiadła do pociągu byle jakiego i uciekła do Łodzi w październiku 1954 r. Mój szwagier Józef umarł na gruźlicę. Nabawił się jej ukrywając się zimą w lesie przed Niemcami jako rozpoznany akowiec. Nie zaleczył od razu, zlekceważył kaszel. Teraz stan był już beznadziejny, ale siostra, słusznie, do ostatniej chwili żądała od medycyny cudu. Pojechałem, i tym razem dorożką, po cud do szpitala, do doktora Grzeszaka, uważanego wtedy za najlepszego w Mińsku lekarza i niemal właśnie cudotwórcę. Pojechałem jako do dawnego szefa. Usiłowałem nawiązać z nim w dorożce rozmowę o naszym tamtoczesnym zarządzie PCK i jak to współpracowaliśmy, i o tym, że uczyłem na kompletach jego córkę... ale doktor wcale sobie mnie nie przypomniał. I takie jest życie. Miejsce lekarzy, o których tu pisałem zajęli nowi, też świetni, jak wiem bardzo już, jako wpadający na dzień, dawniej na kilka dni, ogólnikowo. Jestem co prawda gościem stałym, ale w snach i przede wszyskim... w Mińsku cmentarnym. O nowych powojennych lekarzach powinien napisać, i niewątpliwie napisze, ktoś inny. Wiem, że są (w tym nie tak dawno zmarły doktor Franciszek Cudny), jak najbardziej godni wdzięcznej pamięci ludzkiej.

Budynek dra F. Cudnego przy ul. Kolejowej (dawna ul. Polowa) z 1903 r. obecnie internat L.O.

Rys. M.Nojszewski